

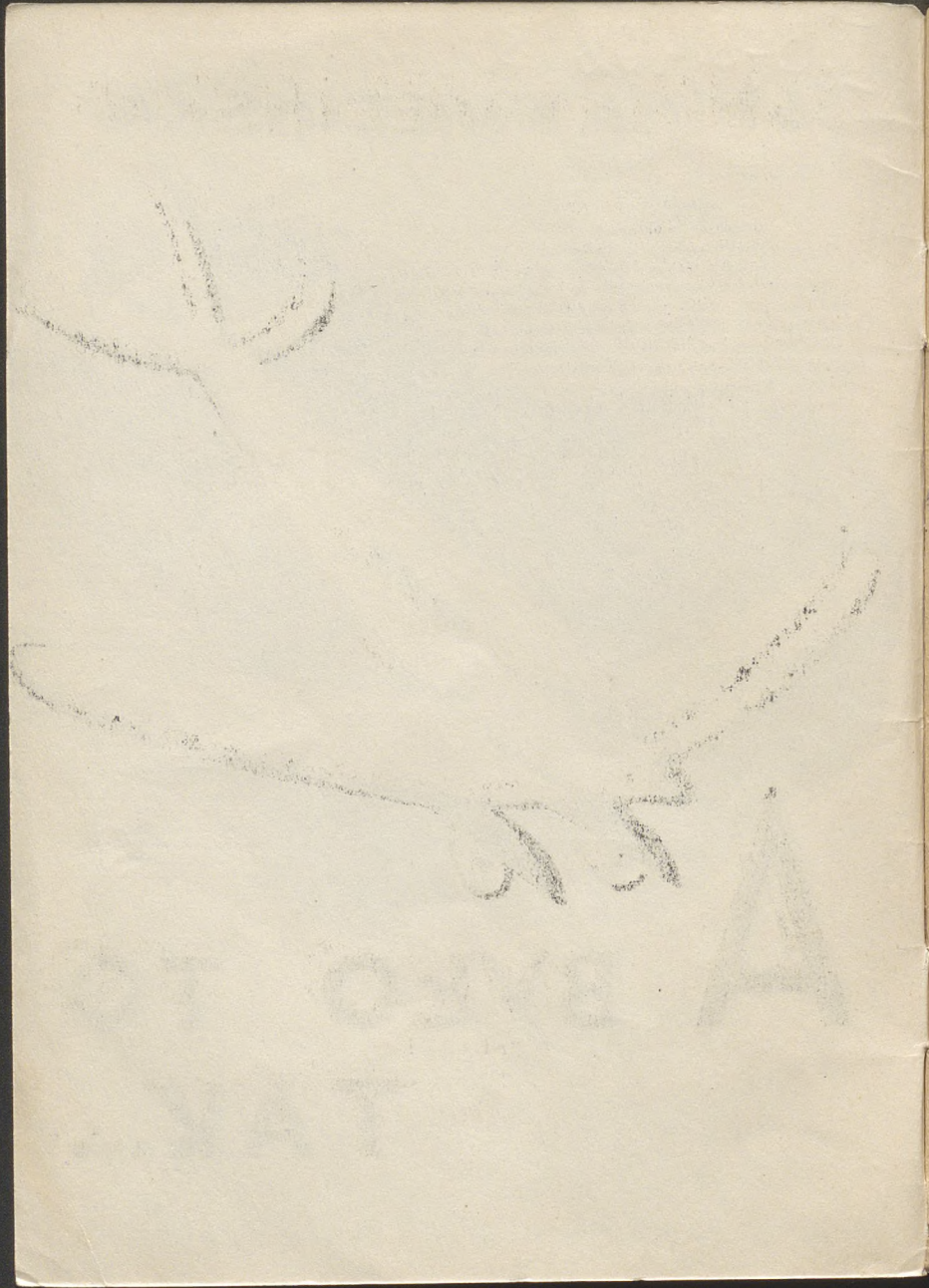
T. 378.402 3152 ~~1477~~ A

JANINA KWIECIŃSKA



A BYŁO TO  
TAK...

BIBLIOTECZKA NAJPIĘKNIEJSZYCH BAJECZEK I POWIASTEK





BIBLIOTECZKA NAJPIĘKNIJSZYCH BAJECZEK I POWIASEK

5

JANINA KWIECIŃSKA

# A BYŁO TO TAK...

Ilustrował  
ANDRZEJ JANKOWSKI

BIBLIOTEKA  
PILSKIEJ AKADEMII  
LITERATURY

NAKŁADEM  
SPÓŁKI WYDAWNICZEJ A. GMACHOWSKI I S-KA  
W CZĘSTOCHOWIE

1936

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001017053608

### SPIS RZECZY

1. Prawdziwa bajka . . . . .	str.	3
2. Słowik . . . . .	„	9
3. Zazdrość . . . . .	„	14
4. Wielka podróż . . . . .	„	20
5. Auto . . . . .	„	27



I. 378.402



## PRAWDZIWA BAJKA

W jednej wiosce na Polesiu, oddzielonej od świata błotami i lasami, mieszkał w małej chatce chłopiec. Rodzice jego byli bardzo biedni, więc Jędrak nie widział nigdy dużego miasta, ani gór, ani morza, znał tylko jedno małe miasteczko, bo go tam zabierali czasem rodzice na jarmark.

Jędrak był już dużym chłopcem, chodził do szkoły, ale nie lubił się uczyć. Wogóle nie lubił pracować. Wymykał się często cichaczem z domu, albo ze szkoły, siadał nad małą rzeczką i czytał bajki. Dostał je kiedyś od jednej pani, która mieszkała kilka tygodni niedaleko chaty Jędrka i bardzo polubiła chłopczyka o jasnych włosach i wielkich niebieskich oczach.

— Och! jakie to piękne rzeczy dzieją się w baśniach — myślał chłopiec — jakżebym chciał spotkać kiedy czarodzieja, który ma skrzynię grającą zawsze piękne melodie, o jakżebym chciał mieć latający dywan, albo siedmiomilowe buty, mógłbym wtedy zwiedzać dalekie kraje, chciałbym mieć taką różdżkę czarodziejską, gdyż mógłbym wtedy robić różne cuda.

I gdy tak kiedyś marzył nad rzeką, przyszedł jakiś obcy uśmiechnięty pan i począł łowić ryby. Siedzieli tak długo: smutny chło-





piec i wesoły jegomość. Wreszcie zaczęli rozmawiać.

— Piękny jest świat, piękne jest życie— mówił pan, uśmiechając się do zielonych pól i błękitnej rzeki.

— Piękne są bajki, tylko bajki są piękne — upierał się chłopiec.

I opowiedział o śpiących królewnach, o latającym dywanie i o potworach na dnie cudownych wód.

— Ależ ja ci to wszystko mogę pokazać — roześmiał się pan i przestał łowić ryby.

— Aha — spotkałem wreszcie czarodzieja — wykrzyknął uradowany Jędrak.

Dwaj nowi przyjaciele powędrowali do chaty rodziców chłopca. Długo rozmawiał wesoły pan z ojcem i matką Jędrka. Aż wreszcie zgodzili się na kilkodniowy wyjazd syna.

Jechał więc Jędrak z czarodziejem na wozie po wyboistych poleskich drogach, aż dojechał do jakiegoś miasteczka.

— Teraz ci pokażę siedmiomilowe buty — rzekł czarodziej i zaprowadził chłopca na rynek.

Podszedł do wielkiego i lśniącego pudła i rzekł: — Widzisz, to jest samochód, którym możesz jechać tak szybko, jak w żadnej bajce, a jest o tyle wygodniejszy od siedmiomilowych butów, że nie potrzeba wcale chodzić.



Siedli wygodnie na miękkich fotelach i pomknęli wdal. Jędrak był zachwycony.

— Ależ to wspaniała jazda — wykrzykiwał co chwila, patrząc na szybko migające słupy telegraficzne i na wciąż zmieniające się krajobrazy.

Stanęli wreszcie na jakimś wielkim placu.

— Gdzie jesteście? — dopytywał się chłopiec.

— Na lotnisku — uśmiechnął się czarodziej, — o widzisz zdala, ile tu stoi samolotów.

— Ach! te huczące maszyny? — dziwił się Jędrak.

Możesz na nich podróżować, jak na latającym dywanie, tylko o wiele bezpieczniej.

Zbliżyli się do aeroplanu i uśmiechnięty pan pokazał zbliżoną śmigłę, skrzydła i kabiny, objaśniając wszystko dokładnie.

A raptem spytał:

— Nie będziesz się bał wsiąść i latać? —

— Nie — rzekł chłopiec, — nie będę się bał.

Więc wsiedli i polecili. Patrząc z góry na ziemię, cieszyli się, że domy wydają się takie maleńkie, pola, jak kolorowe kwadraciki, a lasy, jak zielone dywaniki.

— Wydaje mi się, że żyję w bajce — wykrzykiwał malec — jaka szkoda, że pana wcześniej nie spotkałem.

— Gdybyś się chciał uczyć, dawno wiedziałbyś o wszystkim.



Motor huczał, więc Jędrak skorzystał z tego i udał, że nie słyszy odpowiedzi.

Kiedy wreszcie przylecieli na lotnisko, chłopiec był ogromnie zmęczony, a w głowie mu się kręciło po tej bajecznej podróży. Czarodziej zaprowadził go do swego mieszkania i kazał iść spać.

Ale Jędrak nie mógł zasnąć, przewracał się z boku na bok i wzdychał.

— Ach! żeby jeszcze była skrzynia grająca!

Wtem usłyszał muzykę.

— Czy to czarodziej gra, a może i to życzenie moje zostało spełnione?

Pomyślawszy to, Jędrak zerwał się z posłania i począł szukać. Ujrzał wreszcie małe brązowe pudełeczko, skąd dochodziły piękne tony muzyki.

— Chyba śnię — szeptał chłopak i przecierał oczy.

— Dlaczego nie śpisz? — krzyknął groźnie czarodziej.

— Gdzie tak pięknie grają — pytał Jędrak — czy w tem pudełku?

— No tak, to jest przecież radjo, nie słyszałeś nigdy o tem? — zdziwił się jegomość.

— I to pan jest takim czarodziejem i to pan to wszystko stworzył? —

— Nie, nie ja, stworzyli inni ludzie.

— Ale jak, skąd wiedzieli, jak to wszystko zrobić? — gorączkowo zasypywał pytaniami mały Jędrrek.

— Praca, nauka i troska o szczęście wszystkich ludzi zmieniają świat — zamyślił się przez chwilę starszy pan, a potem serdecznie ucałował chłopca i rzekł:

— Wszystko to zrozumiesz, jak będziesz się uczył, czytał i pracował.

Jędrrek głęboko wziął do serca słowa przyjaciela, jest teraz pilnym uczniem, przeszedł już do szóstej klasy i chce koniecznie zostać lotnikiem.





## S Ł O W I K

— Cóż to za głupi chłopak — mówili koledzy o Jasiu — zamiast biegać po łąkach, karmi wróble, bawi się z kotami, gada do koni, poprostu ma źle w głowie.

Jaś był synem rolnika i tak, jak jego koledzy, mieszkał na wsi. Nie był wcale taki głupi, jak się wydawało innym, poprostu był dobry i kochał zwierzęta.

Nic też dziwnego, że, ujrawszy kiedyś w ogrodzie umarłe ptaszki, przystanął i zaczął się im przyglądać.

— To dziwne—myślał — czyżby wypadły z gniazdka?

Spojrzał w górę. Na drzewie, pod którym stał, gniazda nie było.

— Więc nie wyleciały, tylko ktoś je wyrzucił, pewnie jeden z małych psotnych chłopców — pomyślał.

Łzy zakręciły mu się w oczach i stał tak smutnie ze spuszczoną głową.

— Co ty robisz? — krzyknął do Jasia jeden z jego kolegów, Władzio.

— Martwię się, że tak marnie zginęły biedne pisklęta — odparł cicho Jaś.



Głupi jesteś — zaśmiał się towarzysz —  
nic się przecież nie stało — zamiast tu stać,  
chodź ze mną rzucać kamyki do wody.

Ale chłopiec, który kochał zwierzęta, nie  
chciał się bawić, był zbyt zmartwiony.

Rozłościł się więc Władzio i machnąwszy  
ręką, odszedł w stronę rzeki.



— Zaczekaj, zaczekaj, wołał za nim Jaś — coś ci ciekawego opowiem.

To „coś” powiedział z tak tajemniczą miną, że zaciekawiony kolega zawrócił i począł słuchać.

Jaś zaczął swą opowieść:

— W pięknym ogrodzie, na dużym zielonym drzewie, mieszkał słowik ze swoją żoną — słowikową. Kochali się bardzo, nigdy się nie kłócili i nie bili, wspólnie pracowali i było im bardzo dobrze. Mieli piękny domek...

— Jaki domek? — przerwał zdumiony Władzio.

— Dla słowika gniazdko jest tem, czem dla nas dom — objaśnił Jaś.

— Jedyne brakowało im do szczęścia dzieci. To też wielka była radość słowika i słowikowej, kiedy zjawiły się jajeczka, z których miały się wykluć pisklęta.

A gdy dowiedzieli się o tem sąsiedzi, przylecieli, ćwierkając radośnie. Wszyscy bowiem lubili słowiczą rodzinę, bo słowik i słowikowa byli uczynni, weseli i dobrzy.

To też przyleciały wróble z dachu i gil z czerwonym brzuszkiem i czarna wrona — gaduła i jaskółka granatowa i dużo, dużo innych ptaków.

A słowikowa dumna i zadowolona siedziała w gniazdku, grzejąc własnym ciałem jajeczka i otulając je skrzydłami, aby ciepło było jej dzieciom. Siedziała tak dni i noce,



choć drętwiały jej nóżki i omdlewały skrzydełka.

Mąż przynosił jej jedzenie, a chcąc ją rozweselić, śpiewał pieśni najrozmaitsze. Śpiewał jej o tem, że dobre i piękne jest słońce, które ogrzewa kwiaty, ludzi i ptaszęta, że piękne jest niebo błękitne, po którym spacerują białe pulchne chmurki, że piękne są noce, kiedy cicho szumią drzewa i że dobry wspaniały jest Bóg, który to wszystko stworzył.

A kiedy tak cudnie śpiewał, słuchały go kwiaty, pochylając z zachwytu kolorowe główki, słuchały go wróble na dachu, i gil z czerwonym brzuszkiem i czarna wrona — gaduła i jaskółka granatowa i dużo, dużo, innych ptaków.

A ludzie, przechodząc, mówili:

— Jaki to miły ten słowik i jak on ślicznie śpiewał!

Wreszcie wyklęły się pisklęta, a ledwo wyszły z jajeczek poczęły wołać:

— Jeść! jeść! jeść!

Więc latał ojciec znosił jedzenie i wkładał je do rozdziawionych dziobków. Latała też słowikowa, łapiąc muszki dla swoich dzieci.

Ile było gwaru i radości, kiedy zaczęto małe uczyć latać! Słabe jednak miały jeszcze skrzydełka i więcej było hałasu niż nauki.

Któregoś dnia słowik poleciał prosić



kwiatki o trochę rosy dla swych piskląt, a słowikowa, siadłszy na drugim drzewie, gawędziła z wróblową.

— O jej! — zakrakała raptem wrona — gaduła, która właśnie przyleciała — o jej! — zakrakała po raz drugi — ktoś kradnie wam dzieci, sąsiadko!

Słowikowa spojrzała na swój domek i o mało nie zleciała z gałęzi, tak się przeraziła. Ujrzała chłopca, który, wdrapawszy się na drzewo, wyjmował pisklęta z gniazdka.

— Co robisz, brzydki, psotny chłopczyku? Przecież to moje ukochane dzieci! — krzyczała zrozpaczona matka.

Ale chłopak nie słuchał, wziął pisklęta, zszedł z drzewa i poszedł.

Płacz i lament powstał wkoło. A kiedy wrócił słowik, zaczęto szukać zaginionych. Szukali długo, aż wreszcie znaleźli martwe ptaszki, leżące na trawie.

Odeszło szczęście z wesołego domku Osowiała i milcząca siedziała słowikowa, a słowik począł śpiewać o swym bólu i stracie. Śpiewał coraz smutniej, coraz smutniej, aż wreszcie przestał śpiewać, bo pękło mu serce z bólu.

Umilkł Jaś, a Władzio wybuchnął płaczem i łkając wołał:

— To ja wyjąłem pisklęta dla zabawy, ale już nigdy, nigdy więcej tego nie zrobię.



## Z A Z D R O Ś Ć

— Ciekawa jestem, dokąd nas niosą —  
świergotała Zuzu.

— Zimno i ciemno, brrr, nie lubię ta-  
kich przygód — narzekał Figiel.

Siedzieli oboje na pręcikach w dużej  
klatce, zasłoniętej papierami. On nastroszył  
piórka i ponuro przymknął oczy, ona bie-  
gała niespokojnie i starała się wyrzeć przez  
mały otwór.

— No, nareszcie — odsapnęły oba ka-  
narki, gdy je odsłonięto.

— Jesteśmy w jakimś nowem miesz-  
kaniu.

Poczęły przyglądać się, kręcąc żółtymi  
główkami.

— Patrz, patrz, co to weszło do poko-  
ju—pisnęła Zuzu.

— To? To jest pies—odrzekł pogardliwie  
Figiel.

Pik, zobaczywszy klatkę, usiadł ze zdzi-  
wienia na środku pokoju, podniósł uszy do  
góry i warknął.



— Ładna historia! Lepiej z nim uprzejmie pogawędzić — szeptała Zuzu — on taki wielki, czarny i groźnie patrzy.

Figiel machnął główką na znak zgody i zaświergotał przyjaźnie:

— Czy szanowny pan kundel zadowolony z naszego towarzystwa?

— Nie jestem kundel, tylko pudel — odrzekł pies z godnością.

— Fiu, fiu, fiu, — zanucił kanarek.

— Co to za kpiny? — szczechnął Pik.

— Ależ ja próbuję śpiewać — tłómaczył się Figiel, a Zuzu przerażona zleciała z przęcika.

Takie było pierwsze spotkanie kanarków z psem. Prędko oswoiły się ptaszki z nowym otoczeniem. Rano dawano im pyszne ziarenka i piękną zieloną sałatę. Potem kąpiel. Zuzu lubiła się kąpać. Z wielkim rozmachem wchodziła do wody i radośnie trzepotała skrzydełkami. On był bardziej wstydlivy. Cekał, aż wszyscy wyjdą z pokoju, wtedy powoli zbliżał się do wanienki, moczył dziobek, próbując, czy woda nie jest za zimna. Delikatnie wsadzał jedną nogę, coprędzej ją cofał i myślał:

— Kąpać się, czy nie kąpać? — I długo siedział zamyślony, machając żółtym ogonkiem, aż wreszcie woda wystygła.

— No i co — pytała Zuzu — przyjemnie jest się wymyć, prawda?

Zuzu mieszkała w drugiej klatce nad klatką Figla, więc nie widziała, co on robi.

— Ba, mrucał ze złością kanarek, — jak mogę się myć, kiedy woda zimna? — jeszcze się przeziębnię i głos stracę.

Figiel uważał, że ma bardzo piękny głos, co rano śpiewał cichutko i dziecinnie. Był bardzo młody, więc dopiero uczył się śpiewać.

Jednego dnia, kiedy Figiel wysiłał się na piękne trele, wylazł z kąta Pik i począł szczekać.

— Nie przeszkadzaj mi — prosił kanarek — widzisz, że pracuję.

— Co za obrzydliwe ptaszysko — szczekał pies — spać mi nie daje, tylko skrzeczy i skrzeczy. A tak było cicho w domu i spokojnie!

— Ojej — zawył raptem i złapał się za ogon.

— Co się stało? — pisnęły kanarki.

— Nic — pchła mnie ugryzła, a wogóle jestem nieszczęśliwy — narzekał Pik.

Rzeczywiście, pudel dawniej wesoły i miły, stał się nagle ponury i milczący. Nikt nie wiedział dlaczego. A jego dręczyła zazdrość.



Uważał, że wszyscy w domu przestali go lubić, że wolą kanarki. Pieszczono go, jak dawniej, brano na spacer i dostawał łakocie, ale Pik wmówił w siebie, że przez kanarki stracił miłość swoich państwa.

— Czekaście — warczał czasem z kąta do wystraszonych ptaków.

— Już ja was złapię, złapię i zagryzę. Kłapał przytem groźnie zębami, aż Zuzu dostawała boleści ze strachu.

Od czasu do czasu otwierano klatki i zachęcano ptaszki do wyjścia.

— Pofruwajcie trochę po pokoju—mówiła ich pani.

— Pofruwajcie, pofruwajcie mruczał ponuro pudel.

Biedne kanarki siedziały skulone i bały się wychylić dziobki za klatkę.

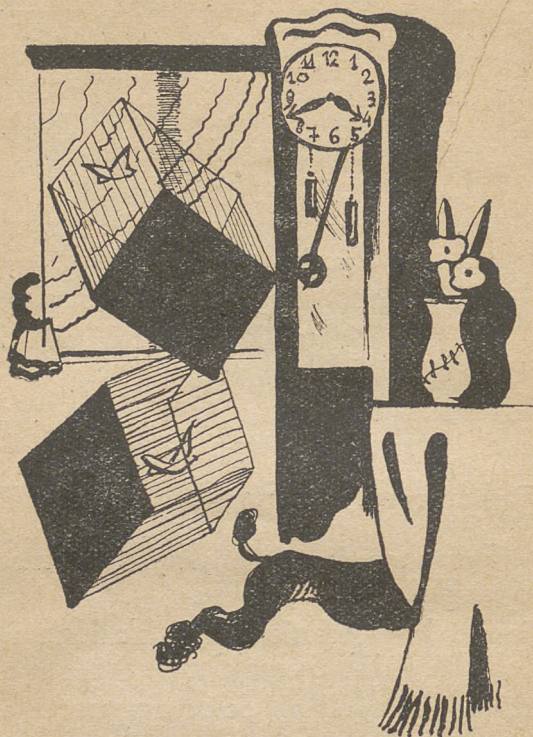
Aż kiedyś stało się coś okropnego. Ciemno było w pokoju, ptaszki spały, cicho i puisto było wokoło. Pik wskoczył na krzesło, sięgnął łapą do klatek i pchnął je z całych sił.

— Ratunku! ratunku! — pisał Figiel.

— Pomocy! — wołała Zuzu.

A klatki zleciały z wielkim hałasem na podłogę. Zegar z przerażenia stanął, kanapa jęknęła, a Pik uciekł. Schował się pod stół w kuchni i drżał.





Słyszał lament kanarków, kroki swoich państwa, wystraszone głosy, krzyki służącej.

— Jestem zgubiony — zaraz mnie znajdą i zbiją, a może z domu wyrzucą.

Wtulił się w kąt i pisał. Po chwili wszystko się uciszyło i pani zawołała na psa. Wyszedł z pod stołu, skulony, różczochrany i zapłakany.



— Wielką przykrość zrobiłeś mi piesku — rzekła pani — a tak cię wszyscy lubimy. Dlaczego tak brzydko postąpiłeś?

Pik zwiesił głowę i mruknął: — Jestem złym psem.

Widząc jego smutek i szczery żal, pani pogłaskała Pika i rzekła:

— No, daruję ci, ale bądź grzeczny.

Na drugi dzień, kiedy potłuczone i chore kanarki drzemały na pręcikach, podbiegł do nich pudel i polizał pręty klatki. Ale Figiel odwrócił się do niego tyłem, a Zuzu miała obrażoną minę. Pik, nie wiedząc już, jak ma je przeproszać, siadł na tylnych łapach i począł służyć.

— Fiu, fiu, fiu — dziwił się kanarek.

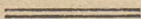
— Piękny masz głos — rzekł Pik i ukłonił się.

— Naprawdę? — ucieszył się Figiel.

— Więc szanowny pan pudel zadowolony jest z naszego towarzystwa? — spytała udobruchana Zuzu.

— Bardzo, bardzo, — mruczał Pik i merdał ogonem.

Tak się zaczęła przyjaźń kanarków z psem.



## WIELKA PODRÓŻ.

Nad wielkim, pięknym jeziorem bawiło się dwoje dzieci: Zosia i Zdziś.

Umocowana do brzegu grubym łańcuchem kołysała się na wodzie smukła biała żagłówka. Był pogodny, wiosenny ranek.

Dzieci bawiły się na piasku, ale prędko znudziło im się budowanie zamków, które zmywała fala jeziora.

Wiesz co? - rzekł Zdziś - mam świetny pomysł: będziemy podróżować. Żagłówka będzie okrętem, ja kapitanem, a ty załogą.

- Co to jest załoga? - spytała Zosia.

- Wielu majtków, którzy pracują na statku, nazywamy załogą.

Zosia natychmiast zgodziła się, bo bardzo kochała brata. Zaraz też zabrali się do roboty.

- Widzisz - tłumaczył Zdziś, który był o trzy lata starszy od siostry i więcej już umiał - brzeg nazwiemy Gdynią, a jezioro morzem Bałtyckiem.

- A co to jest Gdynia? - zdumiona spojrzała na kapitana.

- Gdynia jest to piękny port polski - objaśnił.



— A jak będzie się okręt nazywał?

I długo myśleli, ale nic nie mogli wymyśleć, więc okręt pozostał bez nazwy.

Załoga i kapitan pracowali w pocie czoła, urządzając dla siebie kajuty z wiosła i z desek, które w zwykłym czasie były ławkami. Potem przynieśli trochę żywności. Co prawda były to tylko czereśnie, które dostali od matki na śniadanie, ale dzieci uważały, że to jedzenie wystarczy na długie tygodnie podróży.

Kiedy już wszystko było gotowe do drogi, Zdziś postanowił że statek będzie handlowy i że wobec tego trzeba nabierać trawy.

— POCO trawy? — zdziwiła się mała Zosia.

— E, ty się wciąż o coś pytasz, trawa to będzie zboże, które sprzedamy w dalekich krajach i dostaniemy za to dużo pieniędzy.

— A co kupisz za te pieniądze? — zaintrygowana się.

— Strzelbę — odrzekł bez namysłu.

— A ja — rzekła cichutko — kupię ciepłe okrycie na zimę dla mamy.

Zdziś zawstydził się, że on myślał tylko o sobie, a jego mała siostrzyczka chciała zrobić przyjemność mamusi.

— Hm — mruknął, może nie kupię strzelby, tylko fajkę dla ojca.



Tak rozmawiając, dzieci zbierały pilnie trawę i kładły na dno żaglówki.

— No, a teraz jazda! — począł trąbić zapamiętałe kapitan, udając okrętową syrenę.

Phi, co za jazda — odkrzyknęła pogardliwie załoga — kiedy łódź przyczepiona do brzegu.

Podrażniony tą uwagą, Zdziś wylazł z okrętu i odczepił łańcuch, potem siadł przy sterze i począł nim kręcić, Zosi zaś kazał myć kajuty.

Byli oboje bardzo zajęci, więc nie zauważyli, że łódź, uwolniona z łańcucha i popychana falami, zaczyna powoli odpływać od brzegu.

Nagle zerwał się wiatr i uderzył w żagle.

— O jej! — krzyknęły dzieci przerażone.

Zaczęły wołać pomocy, ale nikt nie usłyszał, a tymczasem łódź mknęła po wodzie bardzo szybko, przechylając się coraz bardziej na bok.

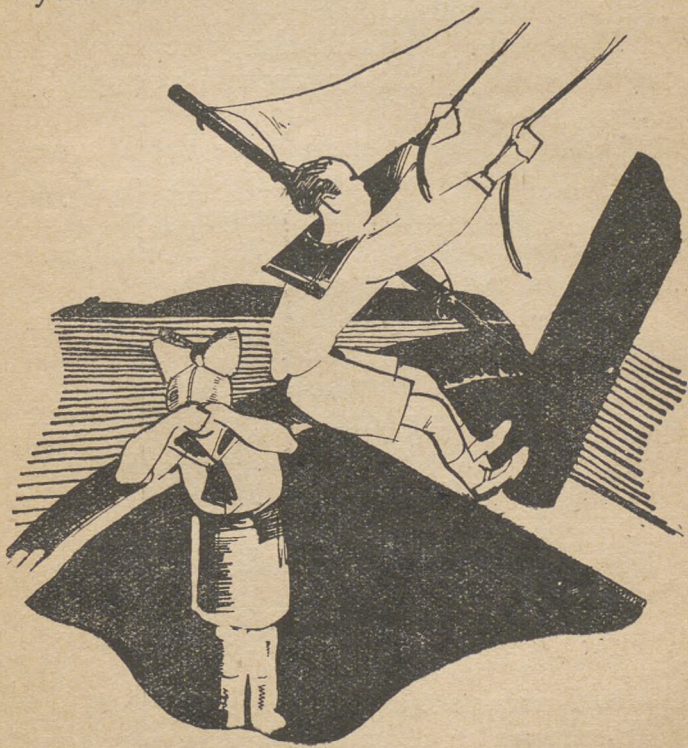
— Co robić, co robić? — szeptała Zosia.

Kapitan nic nie odrzekł, siedział ponuro w kajucie i patrzył na spienione fale jeziora. Wtem żagiel począł łomotać złowrogo, bo wiatr zmienił kierunek i zamiast pchać łódź, począł nią kręcić i przechylać na wszystkie strony. — Napewno wpadniemy do wody i ryby nas zjedzą — krzyknęła załoga i rozpłakała się.



Zdziś często jeździł z ojcem po jeziorze, więc wiedział, że jak nie kierować żaglem, to wiatr łatwo może łódź wywrócić. Przypomnił sobie też, że widział kiedyś, jak ojciec zwijał żagiel. Postanowił to teraz uczynić.

— Nie becz, tylko chodź mi pomóc — wydał rozkaz Zosi.





Próbowali spuścić żagiel, ale nie mogli utrzymać sznura, mimo, że pracował nietylko kapitan, ale i cała załoga. A łódka tak się przechylała, że do kajut poczęła wlewać się woda.

— A może przeciąć sznur, to żagiel sam się opuści przemknęła zbawienna myśl przez głowę Zdzisia.

Wyjął więc swój ukochany scyzoryk, z którym się nigdy nie rozstawał i począł ciąć sznurki.

Ciężka to była praca. Wiatr dął w twarz, łódka rzucała się we wszystkie strony, więc chłopak wciąż tracił równowagę i padał na dno, uderzając się o burty. Nogi miał przemoczone, a pot kapał mu z czoła.

Ale cel został osiągnięty i wreszcie żagiel zsunął się po maszcie.

Dzieci były uratowane.

— A jak teraz dopłyniemy do brzegu?— pytała Zosia. Była tak zachwycona odwagą i zaradnością brata, że uwierzyła, iż jest prawdziwym kapitanem.

— Trzeba wyjąć wiosła z kajut — odparł.

— A dasz sobie z nimi radę? zatrwożyła się.

— Zaraz zobaczysz — odkrzyknął.

Rozebrali kajuty, postawili ławeczki, Zdzisł siadł i począł wiosłować. Z początku było bardzo ciężko, bo zanurzał wiosła za głębo-



ko, albo też ześlizgiwały mu się po owierzchni wody. Zaciął zęby, sapał ze zmęczenia, lecz nie ustawał w pracy.

Nadszedł wieczór i zrobiło się ciemno. Tymczasem rodzice zaniepokoiili się o dzieci. Szukali na brzegu, wołali, a zauważywszy brak żaglówki, wsiedli do drugiej łodzi i jeżdżąc po jeziorze, rozpaczali. Byli bowiem pewni, że dzieci potonęły.

Jakaż to wielka była ich radość, gdy dostrzegli wreszcie białą łódeczkę, zwolna płynącą. Jeszcze więcej się ucieszyli Zdziś i Zosia, gdy ujrzeli rodziców. Jedną łódź przywiązano do drugiej i tak dobili wszyscy do brzegu.

Kiedy już cała rodzina zasiadła do kolacji, a dzieci wymyte i ogrzane zajadały z apetytem gorące kluseczki, matka rzekła: „Trzeba was ukarać, jesteście nieposłuszne, wicie przecież, że nie wolno wam samym wyjeżdżać na jezioro“.

— Tylko tak dla żartu odczepiliśmy łódź — przerwał Zdziś, — chcieliśmy też zarobić pieniądze i kupić ładne rzeczy dla mamusi i tatusia..

— Matka ma rację — rzekł ojciec — powinno się was ukarać, ale tym razem przebaczę wam, bo cenię bardzo odwagę i zaradność i dumny jestem, że mam dzieci,

które zamiast płakać, umieją sobie radzić w potrzebie.

Dzieci rzuciły się rodzicom na szyję i wśród śmiechu i pocałunków opowiedziały o swej pierwszej podróży w dalekie kraje.





## A U T O

Stefanek lubił najwięcej ze wszystkich zabawek auta. Miał ich kilka. Bawił się nimi, podróżując „na niby“ po całym świecie. Jak szedł na spacer, co chwila wykrzykiwał:

— O! Chevrolet, o! Fiat przejechał.

— Po czym poznajesz marki aut pytała mamusia.

— Po kołach — odpowiadał z powagą.

Marzeniem jego było zostać szoferem, czasem marzenia jego zmieniały się i wtedy chciał zostać kapitanem okrętu.

Przed swemi imiennymi Stefanek chodził zamyślony. Siadywał często w kąciку i wzdychał. Wreszcie któregoś dnia raptem rzekł:

— Widziałem chłopca w parku, który jeździł autem, prawie takim dużym, jak prawdziwe. Po chwili dodał:

— Sam prowadził, a auto było bardzo ładne, całe czerwone, jak mak.

Hm — mruknął ojciec — widzę, że bardzo chciałbyć mieć tę zabawkę.

Błękitne oczy chłopca pociemniały ze wzruszenia.

— O tak — szepnął.



— Jesteś duży i znasz się na markach aut, więc dam ci pieniądze i sam je sobie kupisz. Chciałem ci co innego dać na imieniny, ale jeżeli tak bardzo chcesz...

— Będę wreszcie prawdziwym szoferem — wrzasnął malec i odtańczył z radości wojenny taniec szczepu dzikich Komanczów.

Na drugi dzień, wracając ze spaceru, miał kupić auto. Nie mógł się doczekać tej ważnej chwili. Zle spał, bo wciąż mu się śniło, że jest szoferem, trąbił przez sen i tak się wiercił na łóżku, aż zleciał na podłogę.

— To nic — mruzczał zaspany, wdrapując się na łóżko, — trochę rozbiłem sobie kolano, ale jutro będę miał auto.

Nadszedł wreszcie uroczysty moment i Stefanek wyruszył z boną po zakupy. Pędził naprzód z rękami w kieszeniach, nie patrząc na nic i na nikogo. Nagle wpadł na małą dziewczynkę, która stała na środku ulicy, płacząc.

Była to Jadzia, córka dozorczyńi, którą czasem spotykał.

Czego becysz? — spytał.

— Zgubiłam pieniądze — łkała Jadzia — pieniądze, które dał mi ojciec na zakupy. Co ja teraz zrobię — lamentowała — zbija mnie w domu.

— Nic się straszego nie stało — pocieszał ją Stefanek — dadzą ci drugie pieniądze.



— Nie, nie dadzą, bo nie mają, u nas jest bieda.

Stefanek niebardzo wiedział, co to jest bieda, ale żal mu było Jadzi.

— Zaczekaj tu — zawołał i pobiegł do bony.

— Nie mam ochoty teraz kupować auta — rzekł — wolę pobawić się z Jadzią w ogrodzie.

— Przecież tak się cieszyłeś — dziwiła się panna Gienia.

Ale Stefanek już nie słuchał, maszerował z poważną miną, a zapłakana Jadzia dreptała koło niego.

Kiedy już byli w ogrodzie, chłopiec ukrył się z Jadzią za drzewami i dał jej pieniądze.

— Ale za dużo mi dajesz — ja tyle nie zgubiłam! — wykrzyknęła Jadzia.

— Nic nie szkodzi, weź wszystko.

— Och! jaki ty jesteś dobry! — wołała uradowana dziewczynka.

— No dobrze, że przestałaś beczeć, miałaś okropnie czerwony nos.

Był zadowolony, patrząc jak się uśmiecha, a może i nietylko dlatego.

Kiedy wrócił do domu, pytano go, gdzie jest auto.





— Nie kupiłem bo i tak mam tyle zabawek — odrzekł chłopiec i nie chciał już o tem mówić.

Nadeszło Boże Narodzenie. Święto dzieci.

Stefanek był bardzo przejęty, wciąż pisał listy do św. Mikołaja i martwił się, że nie dostaje odpowiedzi.

— Może się na mnie obraził — pomyślał, siadł i napisał jeszcze jeden list:

„Kochany św. Mikołaju. Przyjdź do mnie koniecznie. Będzie u nas piękna choinka i kluski z makiem. Ja jestem grzeczny, czasem tylko tupię nogami i krzyczę na Gienię. Chciałbym mieć ładną szablę i chciałbym, żeby nie było biedy. Całuję Cię. Stefanek“.

O aucie nikomu nie wspomniał, chociaż wciąż chciał je mieć.

Nadszedł dzień wigilijny. Przyniesiono choinkę. Stefanek pomagał ją ubierać, ale jak tylko zadzwieczał dzwonek, pędził do drzwi, wołając:

— O, święty Mikołaj idzie!

I przyszedł święty Mikołaj. Miał długą białą brodę, łagodne niebieskie oczy, podobne do oczu wujaszka, duży worek na plecach i wielki kaptur na głowie.

— Dzieńdobry! Dzieńdobry! — wołał staruszek od progu.

Stefanek kłaniał się, jak umiał najładniej, wpatrując się w worek.

— Czy byłeś grzeczny? — pytał święty Mikołaj.

— Tak, byłem grzeczny — odpowiadał Stefanek — wczoraj stłukłem talerz, — dodał raptem i zaczerwienił się — ale umiem aż trzy kolędy — wykrzyknął i spojrzał znów na worek. Święty Mikołaj uśmiechnął się dobrotliwie, potem wysłuchał wszystkich kolęd, aż wreszcie rzekł:

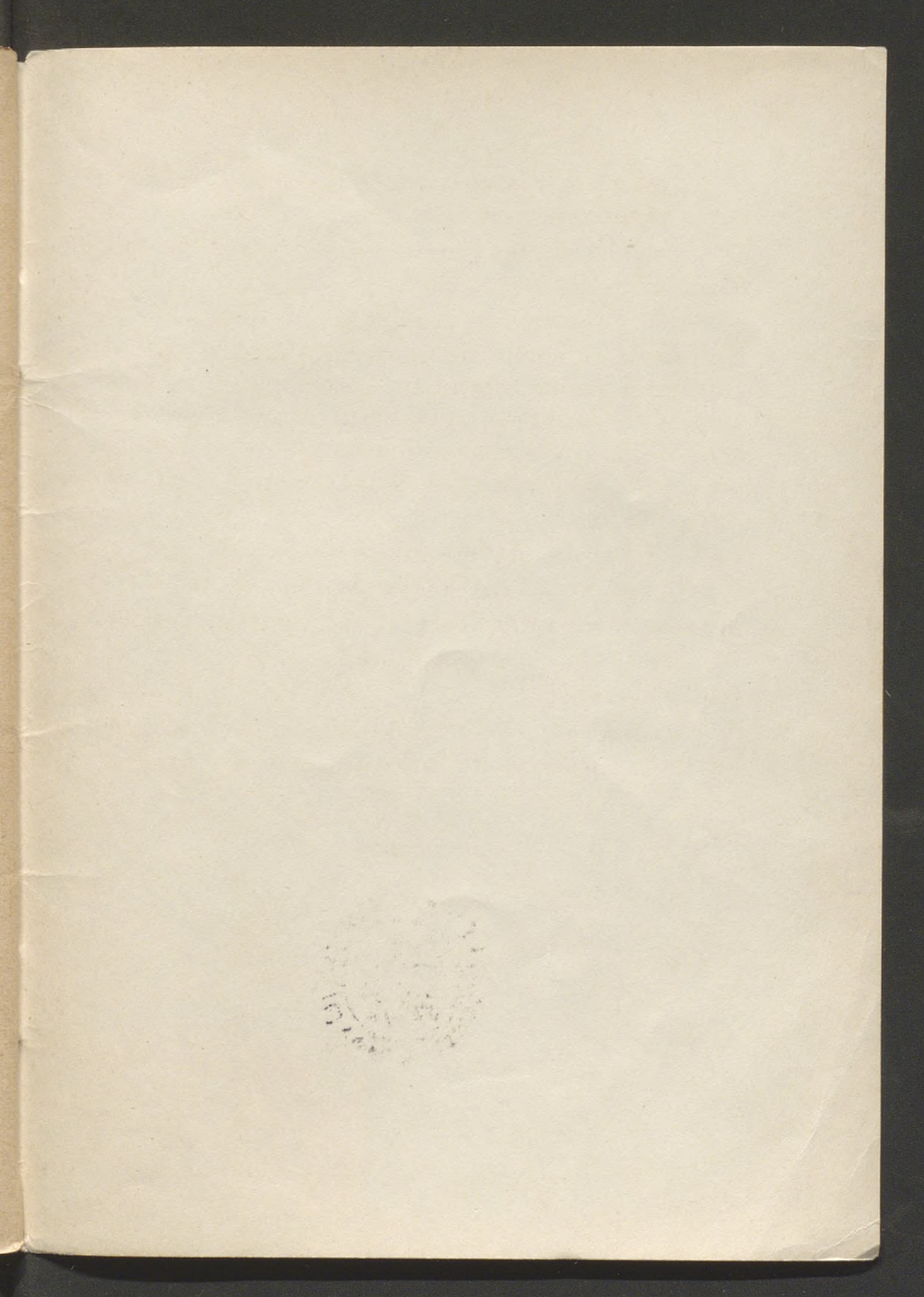
— Bardzo ładnie śpiewasz, jesteś miłym chłopcem, a co najważniejsze masz dobre serduszko, więc przyniosłem ci ładną zabawkę.

Stefanek postąpił krok naprzód i krzyknął z radości.

Zobaczył, że św. Mikołaj wyciąga z worka duże piękne auto koloru maku.







Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001017053608